

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem...

Cyklon zajmował cały horyzont. Jego szczyt niknął pośród burzowych chmur, które przesłaniały całe niebo. Woda z każdą chwilą mocniej biła o burty statku.

Kapitan Boruta odjął lunetę od oka.

– Nie wyminiemy go – powiedział. – I nie ma szans na odwrót. Zobacz, jak szybko się porusza.

Ignaz splunął przez ramię.

– Jakie wydać rozkazy?

– Musimy go przepłynąć. Niech wszyscy będą gotowi.

Marynarze klębili się na głównym pokładzie. Ignaz zbiegł po schodach, chwycił szablę i huknął nią o dzwon okrętowy. Szepty ucichły. Wszyscy spojrzeli na sternika.

– Do lin! – krzyknął, po czym zaczął rozdawać razy płazem szabli. – Do żagli! Przepłyniemy to, choćby i trzymając się ostatniej deski, z Bogiem albo bez Niego. Ruszać się!

*Dar Wenus* zagłębił się w cyklon.

...

Statek wspiął się na falę i runął w otchłań dziobem w dół.

Zwały wody wlały się na pokład i zmyły trzech marynarzy. Okręt zatrzeszczał i począł wspinać się na kolejnego bałwana. Kapitan Boruta, na wpół oślepiiony wodą, naparł ze wszystkich sił na ster. Galeon przemknął bokiem i ześlizgnął się po następnej fali.

– Busola oszalała! – krzyknął sternik, wskazując wirującą igłę. – Nie przepłyniemy tego...

– Oko! – wrzasnął Boruta. – Znajdź mi oko cyklonu!

Żagle huknęły, gdy wicher omal nie rozerwał ich na strzępy. Statek skoczył do przodu, orając pianę. Coraz większe ciemności zalegały wokół. Nikt nie widział już wody. Wszelkie próby zapalenia lamp były wysmiewane przez huragan, obalający każdego kto podniósł się wyżej niż do klęczek.

– Na bakburtę! – zakomenderował Ignaz. – Trzymać żagle, nie mogą się zerwać.

Przez następne dwie godziny marynarze uwijali się po pokładzie, czołgając się z linami w rękę. Wicher cisnął kilku w czarną otchłań, zagłuszając ich krzyki. Kolejny przeleciał tuż obok Boruty. Jego wrzask obijał się pod czaszką kapitana.

– Ktoś musi wejść na maszt! – usłyszał głos Ignaza. – Oko gdzieś tu jest!

Kapitan spojrzał na swoją załogę. Oszaleli z przerażenia ludzie kulili się po kątach, bądź leżeli na pokładzie, wpijając palce w załomy desek. Zaklął, widząc, że decyzja została podjęta za niego.

– Trzymaj ster...

Statek wierzgnął. Boruta, który zdążył już puścić koło, wystrzelił do przodu. Potoczył się po pokładzie i przywalił w maszt. Splunął krwią i zwymiotował. Odczekał aż przestanie się trząść, po czym chwycił oplatającą maszt sieć i podniósł się do klęczek. Zaczął wspinać się. Na

wysokości głównego żagla podmuch przygniótł go do belki, zmuszając do obrócenia głowy i ponownego z wymiotowania.

Na horyzoncie na lewo od statku dostrzegł czerwone światło. Spróbował krzyknąć, ale nie miał szans w walce z rykiem burzy. Wyciągnął rękę, zamachał i wskazał w jego kierunku. Poczł, że galeon zakręca.

Po chwili dotarli do granicy oka. Nagle, wiatr uderzył od lewej. Ignaz krzyknął. Okręt jęknął, skręcił ostro, po czym zaczął przechylać się na lewą burtę.

Boruta zagryzł zęby, czekając, aż razem z masztem huknie o wodę.

...

Pierwszym, co dostrzegł w świetle zachodzącego słońca, była wisząca bezwładnie flaga na szczycie masztu. Masztu, przechylonego niemal poziomo.

Spojrzał w drugą stronę. Przez ścianę burzy dostrzegł uczeponych pokładu ludzi. Wiszący na sterze Ignaz najwyraźniej wykrzykiwał komendy, próbując zmusić ich do posadzenia statku pionowo. Wicher zmiotł kolejnego człowieka.

Kapitan Boruta pokonał ból płuc i zaśmiał się. Usłyszał krzyk mew. No proszę, pomyślał, czyżby cyklon porwał je tak daleko od lądu? Spojrzał w górę, ale nie zobaczywszy ani jednego ptaka, opuścił wzrok na morze pod swoimi stopami.

Zbladł. Potem ze śmiechu przeszedł płynnie we wrzask.

Mewy krążyły daleko w dole. Od tafli morza dzieliły go dziesiątki mil. Zrozumiał, że to nie ciemność skrywała przed nim fale. Fale po prostu zostały daleko w dole.

Borutę znów uderzył wiatr, gdy *Dar Wenus* się wyprostował. Zsunął się z masztu i – nie zważając na mogący go porwać podmuch – dopadł do steru i wyrwał go Ignazowi.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyknął sternik, chwyciwszy kapitana za ramiona. – To nasza jedyna nadzieja! Płyniemy do oka!

Cios był niespodziewany. Ignaz zgiał się w pół. Wiatr miotnął nim o deski pokładu. Wierzgnął i zamarł bez ruchu. Kapitan Boruta napał na ster i obrócił statek, oddalając go tym samym od oka cyklonu.

Zapadła noc.

...

Wiatr ustał.

Wszyscy na statku spali, bądź leżeli nieprzytomni. Kapitan, uwieszony na sterze, podniósł głowę. *Dar Wenus* ze wszystkich stron otaczały gwiazdy, jedna po drugiej zapalające się zarówno na niebie, jak i w tafli, po której płynęli. Boruta przymrużył oczy. Nie, pomyślał, żadnej tafli tutaj nie ma.

Przed dziobem rosło ogromne oblicze księżyca.

...

– Ciekawa rzecz, nieprawdaż, Hieronimie?

Sporych rozmiarów drewniana figura Wenus wisiła nad szachownicą. Biały król, popchnięty przez palec u stopy bogini, leżał przewrócony na środku szachownicy.

– Tak sobie myślę – kontynuował pan Twardowski. – że to chyba pat. Mylę się?

Baron Münchhausen oderwał wzrok od co poniektórych kształtów bogini.

– Nie ja obaliłem króla! – obruszył się, stawiając figurę na swoim miejscu. – Jeszcze mam tu partię do wygrania...

– Em... Przepraszam, że przeszkodzę...

– Wolne sobie! – odparł Polak. – Już widzę, jak wygrywasz, niemiaszku!

– Panowie!

Oboje podnieśli głowy. Ponad figurą, uwieszony na relingu, stał mężczyzna. Jego nieopisane blada twarz, z przyklejonym wyrazem uprzejmego przerażenia, ginęła pośród czarnych włosów.

– Czy mogliby panowie powiedzieć mi – rzekł kapitan Boruta – gdzie się znajdujemy?

– A to waść nie widzisz? – zdziwił się Twardowski. – Toż to *Luna*.

Kapitan rozejrzył się. Ziemia była szara, podziurawiona kraterami i przykryta kopułą mroku ciemniejszego, niż najczarniejsza noc. Coś wschodziło nad widnokrzem.

– Chryste Panie – wyszeptał Ignaz, który przywlekł się do relingu. – Jesteśmy na Księżycu...

– Szach i mat!

– A żeby cię... – burknął Twardowski. – To co, rewanż? Teraz ja biorę białe...

Boruta zeskoczył na ziemię.

– Bardzo przepraszam, że niepokoję panów – powiedział, stając nad szachownicą. – ale czy mogliby panowie udzielić pomocy zagubionym wędrowcom?

– Wędrowcom? – zdziwił się Münchhausen. Spojrzył na kapitana, na dłuższą chwilę zawiesił wzrok na Wenus, po czym przeniósł go na resztę galeonu. – Statek! No proszę. Nie zauważyłem... Niech no zgadnę: porwała was burza, co?

– Szach!

– Dokładnie – odrzekł Ignaz, zsunawszy się z pokładu. – Konkretnie cyklon. Chcieliśmy płynąć do oka, ale...

– Zły pomysł – przerwał mu baron, po czym zbił czarnego hetmana. – Nie byłoby co po was zbierać. Szach!

– Dlatego jesteśmy tutaj. I bardzo chcielibyśmy powrócić na Ziemię...

Usłyszeli jęk. Jeden z marynarzy obudził się, po czym legł nieprzytomny na widok wschodzącej nad horyzontem Ziemi. Inny padł na kolana i zaczął się modlić. Pozostali przeszli na dziób. Byli równie bladzi co ich kapitan.

– Mat! – krzyknął baron, po czym odwrócił się do rozmówcy. – A to dlaczego? Co wam tu nie odpowiada? Cisza, spokój, żadnych wojen ani polityki... Nawet sama Śmierć i wszystkie diabły was tutaj nie znajdują, ot co! Prawda, Janie?

Szlachcic odburknął coś i zabrał się do składania szachownicy.

– Pomóżmy im, Hieronimie – rzekł po chwili. Spojrzał na kapitana. – Musicie obrócić statek i wrócić po własnych śladach. Przy odrobinie szczęścia cyklon nie przesunął się zbyt daleko. Nie wiem tylko, jak wybić was w jego kierunku... Hieronimie?

Baron wyszczerzył się w uśmiechu.

– Macie działa na okręcie?

...

– Latałem statkiem setki mil nad ziemią – stwierdził Ignaz. – Otarłem się o śmierć jakieś dwadzieścia razy. Wylądowałem na Księżycu i patrzyłem, jak dwóch starych szlachciców gra sobie w szachy, a jeden z nich ślini się do figury dziobowej. Ale to, co robimy teraz to gruba...

– Oj, zamknij się – rzekł kapitan. – Trochę fantazji, na miłość boską.

Okręt płynął po swoim śladzie, pchany przez świszczący, księżycowy wiatr. Boruta spojrzął za siebie. Dwie postacie obserwowały ich ze szczytu wzgórza.

*Dar Wenus* powoli zbliżył się do miejsca, w którym ślad zniknął.

– Na moją komendę! – zakrzyknął Boruta. – Pa!!!

Ignaz w ostatniej chwili padł na pokład. Działa, podważone i skierowane niemal pionowo w dół, huknęły jednolitą salwą. Szarpnęło, po czym galeon oderwał się od powierzchni Księżycza.

– Nabijać! Na moją komendę... Pa! Nabijać! Na moją komendę...

Marynarze wciągali działa pod pokład, zasypywali je prochem i zatykali zwiniętymi szmatami. Następnie ustawiali je pionowo, z lufami sterzącymi przez otwory strzelnicze.

Okręt dryfował w górę, zostawiając za sobą Księżyc.

– Pa! – darł się Boruta. – Zwinąć żagle! Do wiosła!

Wiosła zastukały w dulkach. Statek płynął po niczym nie zakłóconym morzu eteru. Księżyc był już tylko punktem daleko za plecami kapitana. Tarcza Ziemi z każdą chwilą rosła. Boruta sięgnął po lunetę.

– Jest cyklon! Przyspieszcie, nie może nam uciec!

Po chwili przez pokład przetoczył się pierwszy podmuch. Ignaz jęknął, gdy cyklon wyrósł przed nimi.

– Złapcie się czegoś! – przekrzykiwał narastający wiatr Boruta. – Pora wracać na morze!

*Dar Wenus* zagłębił się w burzę.

...

– Doprawdy, ciekawa rzecz – przyznał w końcu Münchhausen. – Aż mi się przypomniały wszystkie moje przygody...

Twardowski przesunął swojego gońca i wyszczerzył się w uśmiechu.

– Szach i mat!